

ŚMIERTELNA STAWKA.

(Ze wspomnień lekarza).

Któryż z lekarzy nie spotkał się pewnego dnia w swej praktyce z jednym z tych wypadków nieprzewidzianych przez etykę lekarską, wobec których sumienie lekarza waha się, jak puste szale dokładnej wagi — z jednym z tych problemów niepokojących, do których niema klucza, a które trzeba rozwiązać?

Mój tego rodzaju przypadek jest interesujący przede wszystkim ze względu na tę prostotę, z jaką sfinks Odpowiedzialności — jeżeli można użyć tej przenośni — stanął przedemną w klasycznej pozycji osiołka z bajki Buridana.

Zdarzenie to odnosi się do okresu, kiedy karyera moja lekarska zaprowadziła mnie na czas pewien do kolonii. Znalazłem się wtedy w jednym z okręgów Górnej Kambodży, z perspektywą bawienia się przez dłuższy czas wyłącznie lancetem i szprycą Pravatza w braku wszelkich innych rozrywek. Trzeba bowiem było co najmniej trzy tygodnie jechać konno po gruncie niezmiernie twardym od spiekoty i wyboistym, aby dostać się do najbliższego miasteczka.

Klientami moimi było kilku „wolnomyślicieli“ z okolicy, którzy ośmielali się wątpić o autorytecie mego azyatyckiego kolegi, kurującego pacjentów żółcią małpią i strużkami z rogu nosorożca. Dodając do tego z tuzin europejskich urzędników administracyjnych, żołnierzy z pięciu czy sześciu posterunków, rozprószonych w okręgu stu dwudziestu kilometrów i ptaki przelotne; komiwojażerów, wysłańców misji i członków brygad topograficznych... Do tej ostatniej kategorii należeli też dwaj bohaterowie mojej historii.

Przybyli oni obaj konno pewnego pięknego popołudnia pory suchej i natychmiast zażądali mojej pomocy: o świcie, podczas odpoczynku, napadły na nich niedźwiedzie. O, bynajmniej nie olbrzymie, drańskie „grizzli“ — niedźwiedzie amerykańskich Gór Skalistych... nie, lecz tacy dwaj azyatyccy pospolici amatorzy bananów, coś w rodzaju niezgrabnych kłownów, których drażliwość została widocznie dotknięta przez jakieś nieostrożne, a źle przez niedźwiedzków zrozumiane kroki młodych topografów. Uderzeniami drązków mierniczych i trójnogów udało im się wprawdzie dość prędko nawet uwolnić od swych czworonożnych gamoniowatych napastników — nie bez zachowania jednak, na pamiątkę walki, głębokich i bolesnych zadrapań na ramionach, rękach i twarzach. W całości, przygoda byłaby raczej komiczną, niż tragiczną, gdyby nie to, że groziła możliwość straszliwej komplikacji z infekcją tężca, dla której poranienia otwierały drogę. Grunt i powietrze owych okolic Kambodży nasycone są mia-

zmatami tej okropnej choroby i jest pierwszym, najważniejszym wskazaniem dla każdego, kto ma jakąś, choćby najmniejszą ranę, zastrzyknąć sobie natychmiast odpowiednią dozę surowicy anti-tężcowej, zapobiegającej śmiertelnemu w skutkach zarażeniu się.

Moi młodzi topografowie okazali się nieprzezornymi, jak zresztą wszyscy młodzi ludzie w tym wieku, albowiem ośmielili się zapuścić w dżungle bez flakonu wspomnianej surowicy w jednej kieszeni, a szprycy iniekcyjnej Pravatza w drugiej; jednakże nie byli także pozbawieni rozsądku. Wiedzieli oni doskonale, jakie niebezpieczeństwo im grozi i do jakiego stopnia samo pochodzenie ich ran, zadanych pazurami bestyj, zabrudzonych w bagniskach, niebezpieczeństwo to czyniło jeszcze bardziej niewątpliwym. To też po starannym obmyciu wodą z mydłem miejsc zranionych, młodzi ludzie nie zaniebali uciec się do interwencji lekarza tj. w danym wypadku mojej...

Trzydziesto-sześć godzinna podróż konna pozostawiła ich dość rzeźkimi, aczkolwiek rzuciła na ich twarze pewną bladłość, która uderzyła mnie, gdy młodzi ludzie stanęli przedemną i wyluszczyli swoją sprawę. Lecz nagle, ja poczułem, że błędę sam gorzej niż oni. Przypomniałem sobie bowiem, że pozostał mi tylko jeden jedyny flakon zbawczej surowicy! Jeden flakon, zawierający dziesięć centymetrów sześciennych surowicy — dozę akurat właśnie wymierzoną i konieczną dla jednego człowieka na jedno wstrzyknięcie! Przez jakąż to szaloną i zbrodniczą wprost nierozwagę, w skutkach tak groźną, zaniebaliśmy na czas uzupełnić swych zapasów?... Wymamrotałem kilka słów niezrozumiałych, poprosiłem młodych ludzi, aby trochę poczekali i zacząłem jak szalony szukać i przewracać po wszystkich szafkach na medykamenta, stojących w moim pokoju. Ale, niestety, pamięć moja nie omyliła mnie: nie było więcej, niż jeden flakon surowicy, jeden jedyny, stojący na stolyczku! I ta jedna bezbarwna flaszeczka zawierała w sobie ocalenie życia ludzkiego!... Życia ludzkiego... tak... ale którego? Którego z tych dwóch, które oba były zagrożone? Albowiem, po chwilowym zastanowieniu się, kwestja przedstawiała się tragicznie prosto: komu zastrzyknąć surowicę? Którego z tych dwóch młodych i pełnych życia ludzi ocalić, a którego skazać na powolne konanie i śmierć niechybną?...

Zebrałem całą moją przytomność umysłu i ujrzałem, że sam rozstrzygnąć sprawy nie jestem w stanie. Zebrałem następnie całą odwagę i zwracając się wprost do moich pacjentów, im przedstawiłem jasno całą okropną sytuację. Przecież ci dwaj młodzi chłopcy byli mężczyznami... Usłyszawszy rzecz, nie okazali przestachu, porozumieli się wzrokiem między sobą, następnie jeden z nich zapytał:

— Czy nie można rozdzielić dozy?

— Niestety! — nastąpiła moja odpowiedź —

doza jest najściślej wymierzona i zaledwie wystarczająca na jednego w takim ciężkim wypadku poranienia twarzy...

Młodzi ludzie znowu spojrzeli po sobie i drugi z nich rzekł stanowczo:

— Trudno, panie doktorze, pan musi rozstrzygnąć. Pan jest odpowiedzialny za swoich chorych i za swoich rannych. Pan zobaczy i pan zadecyduje, podług stanu porażeń albo też podług naszych szans na odporność...

Ostatecznie, było to rozwiązanie. Jednego po drugim, kolejno wprowadziłem do mego gabinetu, opukałem, zbadałem, wypytałem... Ach, jakże byłbym szczęśliwy, gdyby mi się u którego z nich udało wykryć jakąś wadę organiczną, początki gruźlicy, zaatakowaną wątrobę, albo coś podobnego, czy ja już wiem, co? Jaką rzecz, którą by można było rzucić na szalę wagi! Bez wahania się, natychmiast poświęciłbym to życie, które już było czemś zagrożone... Ale nie! Dwaj piękni młodzi ludzie, w tym samym wieku, obaj jednakowo zdrowi, jednakowo silni i jędrni, i u obu nawet poranienia jakby bliźniacze!...

Znowu wszyscy trzej znaleźliśmy się na werandzie. Oni zachowujący spokojną minę, starający się być zupełnie *correct*, bez cienia niepokoju; i ja, który czułem zimny pot strachu, występujący mi na skronie.

— A więc — rzekł jeden z nich, stojący po prawej stronie, z uśmiechem — pozostaje nam tylko chyba rzucić monetę, herb czy cyfra...

— Nie! — odparł stojący z lewej strony. — Wprawdzie ta gra przypadku daje w teorii prawie zupełną równość szans dla obu stron; ale niema w niej równości wzruszeń. Ten, który wyrzeka i wybiera stronę, ma zawsze gorsze chwile do przeżycia. Chciałbym rozegrać tę stawkę w grze, która daje pełną możność obrony każdemu...

— To mi się podoba — odezwał się pierwszy. — Panie doktorze, czy ma pan szachy?

Kiwnąłem głową potwierdzająco.

— Rozegramy jedną partję — podjął pierwszy. — Cztery minuty najwyżej na każde posunięcie, tak jak na turniejach szachowych... Wygrywający otrzyma iniekcyję surowicy.

Drugi zaakceptował. Młodzi ludzie oddawna mieli przyzwyczajenie grać ze sobą i uważali się za równej siły graczy.

— Wprawdzie — zauważył krytyk gry w monetę — pewną małą „for“ ma zaczynający grę białymi figurami. Ale teoria szachowa nie twierdzi, aby to była stanowcza i realna przewaga.

On właśnie otrzymał białe, gdy przeciwnicy zasiedli już do gry.

Podczas gry, moje wzruszenie było daleko bardziej widoczne niż ich. Podczas gdy młodzi ludzie, grający o życie, siedzieli spokojnie i w milczeniu przesuwali figury na szachownicy, jak stałem z boku przy stole, w charakterze arbitra. Arbitra najdokła-



Biomalz

jest najprzedniejszy, najsmakowitszy i przytem tani spożywczy i wzmacniający środek dla wszystkich, którzy wzmocnienia i orzeźwienia potrzebują. — W Niemczech najbardziej ulubiony i rozszerzony z wszystkich środków wzmacniających. Puszka K 1-30 i 2-50 do nabycia w aptekach i drogueryach.